Rocznik I. Kraków 15-go czerwca 1909. Nr. 6.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Ważne doniesienie.

W drugiem półroczu, czyli już od lipca bież. roku i na przyszłość wychodzić będzie *Światło* — jako **dodatek** do *Nowego Dzwonka,* a więc przestaje być osobnem pismem i osobno prenumerować *Światła* nie będzie można, **tylko razem** z *Nowym Dzwonkiem.*

Nowy Dzwonek zaś wychodzić będzie od lipca **dwa razy** w miesiącu dnia **1** i **15**-go i kosztować będzie razem ze *Światłem* (dodawanem raz w miesiącu dnia 15-go) na pół roku: **2** korony **50** halerzy.

Oprócz tego, każdy kto sobie zaprenumeruje *Nowy Dzwonek* ze *Światłem* na to drugie półrocze — otrzyma całkiem **darmo**, jako premię **książkę**:

„NASZA SKARBNICA".

Kto zapłacił za *Światło* do końca bież. roku, temu przesyłać będziemy teraz *Nowy Dzwonek* i *Światło.* Kto zapłacił mniej niż 2 korony 50 halerzy niechaj nadeśle resztę uzupełniającą, a kto więcej, temu pozostanie nadwyżka na rok przyszły!

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Dokończenie).

Popiel już usłyszał tętent i sam na podwórze wyszedł. Straż ze zgrozą patrzała na swych towarzyszy. Wlekli na powrozach jeńców pokrwawionych, do ludzi niepodobnych. Drab jakiś sążnisty, na ogromnym koniu, miał przytroczone ciało ludzkie. Trudno było poznać twarz, oszpeconą ranami.

Kneź poskoczył, jak dziki i zaśmiał się strasznie.

— Na wieży powiesić to ścierwo, niech je kruki objadają, aż się kości rozpadną, a dzieci własne nie poznają ojca; cha, cha, cha....

Mróz przechodził po słuchających. Już teraz wiedziano czyje to zwłoki. Ta garść zbirów, wysłana przez Popiela, zamordowała knezia Zboisława, a teraz wywleczono jego martwe ciało na pastwę kruków, a na wstyd i hańbę tej ziemi, gdzie kneź uczynił się zabójcą własnego stryja. Strach ogarnął wszystkich, nikt nie śmiał spojrzeć na pana, któremu piana z ust się toczyła. Pokrwawione zwłoki powiesiły zbiry na szczycie murowanej wieży.

Wieść o strasznych rzeczach, jakie się działy na zamku, rozeszła się wnet po kraju. Podawano ją sobie z ust do ust, a najgłośniej opowiadał stary gęślarz Mirosz. Śpiewał teraz smutnie, a łzy mu się toczyły po twarzy.

O okropnej tej zbrodni dowiedział się naród w dzień uroczysty. Właśnie wypadało święto Kupały, kiedy wszyscy przywykli weselić się i bawić, a potem zbierać nad Gopłem, na wiec.

— Teraz już koniec wiecom! — wołano po kraju, a smutek ogarnął wszystkich wielki.

— Koniec naszym swobodom!

— Naród wielki... — powtarzał Mirosz — nikt mu nie może odebrać tego, co mu dali bogowie.

Wtedy otucha wstępowała w ludzi i zaczęli radzić, co począć.

— Do knezia pójdziem, kneziowie z lechowego rodu za nami staną!

Postanowiono iść do Popiela. Wybrali się tedy najpoważniejsi wiekiem kmiecie i szli na zamek. Nie chciano ich wpuścić, bo taki był dany rozkaz. Stali uparcie, żądając widzieć się z kneziem.

Usłyszał dobijanie się, sam wypadł na podsień i krzyknął:

— Puszczaj ich tu do mnie.

Siedział rozparty w boki, na dębowej ławie, a zębami zgrzytał, jak zwierz rozżarty; posłowie zbliżali się doń w postawach pokornych, z czapkami w rękach.

— Czego chcecie? — zapytał gwałtownie.

— Miłościwy panie — rzekł starzec, siwy, jak gołąb — przyśliśmy się wam pokłonić i zdrowia życzyć, a przypomnieć, że to już trzeci rok, jak wiecu nie było....

— I nie będzie!

— Miłościwy panie, to odwieczny obyczaj, to prawo naszych ojców, to wola Boska....

— I nie będzie więcej! — powtórzył kneź.

— My was prosimy panie, nie czyńcie krzywdy ludowi.

— Precz! jam tu tylko panem, mnie rozkazywać, a wam słuchać i milczeć.

— To nasze stare prawo, bogowie go strzedz będą....

— A ja wam pokażę, że i bogowie mnie słuchać muszą!

Szmer powstał pomiędzy starcami. Siwy kapłan Perkuna wysunął się trochę naprzód i cicho a z mocą wyrzekł:

— Nie wyzywajcie gniewu bogów, miłościwy panie, bo oni silniejsi od nas wszystkich i straszna ich pomsta.

W gardle Popiela zarychotał śmiech dziki.

— Was i bogów się nie boję! Wam łby mogę porozbijać, a bogi stare, jak trupy, poobalam, a na wieży mego zamku wzniosę krzyż!....

— A w jego ramiona i w głowę twego domu będą biły pioruny Perkuna i nastanie straszny dzień pomsty, a na tem miejscu trupy będą gniły i ptak ich dziki nie dotknie i zwierz tylko wyć będzie bez końca, a głos ten doleci aż na kraj świata, na srom i hańbę, na świadectwo wielkiej zbrodni.

Cichy i spokojny kapłan wymówił te słowa z mocą i grozą niesłychaną. Ręce wzniósł ku górze, oczy mu płonęły zapałem i gniewem, a w głosie miał łzy i przekleństwo.

Popiel drgnął na tę mowę. Przez chwilę się zdawało, że go strach przeniknął, ale wnet dzikość wróciła i porwał się na nogi i chciał zabić sędziwego kapłana. Ale starcy otoczyli go i pięść knezia spadła na głowę jednego z nich.

Jęknął białowłosy kmieć i zachwiał się.

Podtrzymali go towarzysze i nastało milczenie, jakby przed wybuchem łez z piersi całego narodu, na którego prawa, swobody i wiarę targał się kneź straszny, a samowolny.

Ciszę tę przerwał tętent koni na moście. Usłyszano gwałtowne dobijanie się do bramy. Zanim kneź mógł dać rozkaz jaki, już na podwórcu ukazało się kilkunastu jeźdźców. Pierwszym był kneź Władysław, za nim inni bracia, a stryjowie Popiela!

Zdziwił się, czy przeląkł na ich widok, a nie mógł zrobić kroku na powitanie.

Przybyli zsiedli z koni i spojrzeli na to, co się tu działo. Nie potrzebowali pytać nikogo. Twarze kmieci smutne i groźna mina Popiela, mówiły wszystko. Stanęli, jakby nie wiedząc, co począć.

— Szybko Popiel idzie naprzód — rzekł cicho Władysław do braci.

Kneź tymczasem opamiętał się.

— Witajcie — odezwał się drżącym jeszcze po gniewie głosem.

Kneziowie skłonili głowami.

— W złą porę przybywamy.

Popiel zaśmiał się.

— To zwykła pogadanka z tymi, co niepokój i nieposłuszeństwo chcieliby mieć prawem.

Miał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili ukazała się księżna i stryjów do komnaty zapraszała. Popiel spojrzał na nią, dała mu jakiś znak oczami.

— Wejdźcie, proszę, pod dach, a wybaczcie, że zapomniałem o obowiązku — przemówił kneź, wskazując stryjom podwoje i sam ustępował im miejsca.

Wchodzili z głowami pochylonemi, nie odpowiadając nawet na uprzejme powitanie księżnej. Ta zatrzymała się chwilę i coś mężowi szepnęła do ucha. Spojrzał na stojących kmieci i powiedział im:

— Czekać tu na mnie.

Wszedł do sieni, tu jeszcze coś szybko mówił z żoną i dopiero po chwili zjawił się w komnacie gościnnej. Stryjowie stali w zamyśleniu.

— Złą poczynasz sprawę, Popielu — odezwał się kneź Władysław, któremu bracia zawsze głos zostawiali — ani wiesz dokąd zajść możesz.

— Cóż to i wy przeciwko mnie? — zapytał niby zdziwiony.

— Moglibyśmy pochwalić niegodziwość?

— A, wy to niegodziwością nazywacie, kiedy ja tylko praw moich bronię?

— Nie krwią się praw dochodzi, nie napadem i zbrodnią, nie gwałtem i uciskiem!...

— Więc mi wskażcie inną drogę.

— Ty ją znasz dobrze, radziliśmy, a nie chciałeś słuchać, teraz odrób to złe, coś uczynił; wróć życie zamordowanym, zmaż z siebie krew stryja rodzonego.

— Nie stryjem był, tylko buntownikiem; wyście sami powinni się byli mścić obrazy mojej, nie chcieliście, stało się, jak poprzysiągłem.

— I masz ręce krwią skalane.

— Broczyć będę dalej, dopóki nie będzie spokoju na tej ziemi! — krzyknął gniewnie.

We drzwiach, wiodących do sąsiedniej komnaty coś zaszeleściało. Popiel spojrzał w tę stronę i pohamował gniew. Spokojniej już mówił dalej:

— Tej hańby znieść nie mogłem, wściekłość mną owładnęła, ludzie może nie zrozumieli, kazałem pojmać, a oni zabili....

— I nie boisz się pomsty?

— Czyjej?

— Zboisław zostawił syna, którego twoi zbirowie nie schwycili, ten mścić się będzie do ostatniej kropli krwi.

— Niech próbuje, a zobaczy, kto tu mocniejszy; jego się nie boję.

— Tak, jego tylko — wymówił cicho Władysław.

— Wy będziecie ze mną? — pytał kneź, wpatrują się przenikliwie w stryjów.

— Gdzie krew rodzona się przelewa, tam się nas nie spodziewaj.

— Ale ze mną do boju nie staniecie — pytał dalej, przenikając oczyma w głąb ich duszy.

Nie odpowiadali nic na to pytanie.

Weszła księżna, sama niosąc chleb i miód. Zapraszała, aby się stryjowie posilili, ale oni wahali się jeść pod dachem już nie krewnego, a wroga zbrodniarza.

— Nie czyńcie nam tego sromu — prosiła księżna — dom to waszego bratanka, więc godzi się z nim łamać chlebem.

— Myśmy tu nie w gościnę przybyli, lecz jako sędziowie za straszną zbrodnię.

Kneziowa ręce załamała, do nóg się rzuciła kneziom, a łzy miała w oczach.

— Nie gubcie go, a razem z nim i mnie i syna naszego — błagała.

— Niech powie sam, czyli nie zawinił.

— Wyście go uczyli przebaczenia urazy, a teraz sami stajecie tak straszni!

— Krew przelana, krew bratnia woła o pomstę.

Adela obejmowała kolana kneziów, łzy jej twarz zalały.

— Zlitujcie się, przebaczcie mu!

Popiel zbliżył się do stryjów.

— Zawiniłem porywczością — odezwał się — ale on nie był także bez winy. Wiecie o tem dobrze, jakim był wam bratem. Cóż chcecie teraz uczynić?

— Napraw to, coś złego zrobił.

— To przepadło, życia umarłym nie wróci nikt. Zdaję się na was sąd. Co każecie, uczynię, aby raz koniec był poswarkom rodowym.

Stryjowie spoglądali po sobie, jakby się bali uwierzyć słowom, które mogły być podstępem. Tyle już złego ten Popiel narobił, że trudno mu było zaufać. A teraz miał minę taką pokorną, on co do gniewu tylko i dzikości był skorym. Teraz stał z wyciągniętą prawicą, prosząc o zgodę i przebaczenie. Ale co właściwie można mu było zrobić? Zabić trudno, bo krewnym był i kneziem. Wypędzić na kraj świata nie miano prawa i broniłby się. Może zresztą naprawdę się poprawi? Stryjowie tego pragnęli bardzo, więc musieli przebaczyć. Zresztą wszyscy oglądali się na Władysława, jako najpoważniejszego wiekiem. Pomiędzy sobą swarzyli się książęta nieraz, a jeden tylko Władysław miał mir u wszystkich i słuchali go.

Teraz on myślał, co począć, a że dobry był człek i nie mściwy, podał rękę do zgody, bo go ujęła skrucha Popiela i łzy jego żony.

Księżna podawała im kubki z miodem i znać było, jak bardzo ją ta zgoda radowała.

— Wyszukamy Wyżymira, Zboisławowego syna, nakłonimy go do zgody, a daliby bogowie, aby ona kruchą nie była.

— Róbcie, jak uważacie za dobre.

Niebawem rozgadali się swobodnie.

— Kto byli ci ludzie, z którymi cię zastaliśmy?

— Kmiecie.

— Czego żądali?

— Zachciewa im się wieców. Zmawiają się już dawno u Piasta.

— To ich prawo.

— A mnie już zawiele tego wiecowania.

Książęta spochmurnieli.

— Słuchaj Popielu, za jedną zgodę chcesz drugą wojnę rozpocząć?

— Jaką wojnę?

— Wiesz, że lud nie da sobie wydrzeć praw swoich.

— Chcę być kneziem i panem, a nie ich sługą.

— A oni prawa swego nie darują, zdeptać go nie dadzą.

— Spróbujemy się.

Kneź Władysław milczał chwilę, potem położył rękę na ramieniu Popiela i rzekł poważnie:

— Słuchaj mnie. Więcej od ciebie widziałem i przeżyłem. Ludowi wojny nie wydawaj, nie targaj się na to, co mu jest świętem, bo zginiesz.

— Wy mi zginąć nie pozwolicie.

— My cię strzedz będziemy chętnie, byle nie w takiej potrzebie

— Nie podalibyście mi ręki?

— Aby zginąć także? Wszak nas jest tak mało, a ci, co pod naszą wodzą idą na bój, to także kmiecie, oni tak samo czują swoje prawa, jak ci, którzy w głębi lasów ziemię uprawiają. Przepadłby ród nasz w tej walce, a naród zostałby tem, czem jest dziś — olbrzymem, nie ginącym nigdy!...

Popiel zamyślił się.

— Więc cóż mam robić? — zapytał po chwili.

— Pozwolić na wiec i uszanować jego wolę.

— Ha niech i tak będzie. Wasza rada odtąd moją wolą.

Kiedy kneziowie udali się na spoczynek, Popiel poszedł do komnat żony. Długo coś tam radzili, a Popiel dopiero o świtaniu wrócił do siebie i legł nierozebrany na posłaniu.

Na drugi dzień słonko ukazało się krwawo i zniknęło poza chmurami. Gęste mgły włóczyły się po równinie i na jeziorze.

Kraska wyszedł na wały, patrzał wdal przed siebie, jakby mu tęskno było do chaty Piastowej. Przeszedł koło murowanej wieży i usłyszał jęki. Nawykł już był do tego. W wieży tej trzymano niewolników. Ale dziś jakoś smutno się Krasce zrobiło, gdy jęki te usłyszał. Zdawało mu się, że jeńców chyba musiało przybyć. Stanął i słuchał. Był pewny, że w ciasnem więzieniu byli sami tylko niewolnicy niemieccy, a tymczasem poznał wyraźnie rodzime słowa, wzywające pomocy bogów. Strach go przejął i przypomniał sobie wczorajszy gniew knezia. Miałżeby pojmać sędziwych kmieci i wtrącić do lochu? Uczuł dreszcze, przebiegające go od stóp do głowy. W tem usłyszał głos, wo-

łający go do knezia. Nie miał czasu myśleć, nawykły do posłuszeństwa, spieszył do swej służby.

Popiel kazał podać sobie szaty świąteczne. Kraska usługiwał, patrzał na knezia, a ręce mu drżały.

Popiel był niby uśmiechnięty, gwizdał głośno i czasem sam do siebie się śmiał.

Południe się zbliżało, kiedy wszedł do wielkiej gościnnej komnaty, strojny, jak nigdy, na przybycie stryjów. Oni już tam czekali.

Witał ich i ściskał, do stołu zapraszał, sam misy podsuwał, najlepsze kąski im wybierał. Adela ukazała się także strojna odświetnie, nalewała miód do kubków, a Krasce, który stał do usługi, zdawało się, że jej ręka drżała.

Jedli i pili ochoczo.

— Za zdrowie wasze i waszego syna! — zawołał jeden z kneziów.

Podnieśli się wszyscy. Popiel ku nim wyciągnął swój kubek, a patrzał gdzieś w kąt izby, jakby stryjom nie śmiał stawić odważnie wzroku.

Usiedli znowu, lecz czuli, że im głowy ciążą. Pewno zbyt silny był miód, albo go pili za wiele.

— Starym trunkiem nas raczysz, a głowa prosi się do spoczynku — odezwał się kneź Władysław. Wstał i zachwiał się na nogach.

Zdawało mu się, że był trochę podpity. Siedzący obok brat chciał go podtrzymać, ale zwalił się z nóg. Inni książęta ruszyć się nie mogli, oczyma osłupiałymi patrzali przed siebie.

Popiel stał nieruchomy. Twarz mu zbladła, ręką musiał się o stół oprzeć. Księżna, oparta o framugę okna, przypatrywała się temu wszystkiemu z uśmiechem.

Kneź Władysław przetarł ręką oczy, spojrzał do koła, widział siniejące twarze swych braci i zrozumiał, co tu się stało. Oczy zachodziły mu mgłą, i wlepił je tak w Popiela, jakby go chciał wzrokiem zabić.

— Ha, gadzie! straszną śmierć nam wymyśliłeś. Przekleństwo tobie i dzieciom twoim!

Ścisnęło go coś za gardło i więcej mówić nie mógł. Padł jak długi na podłogę!

Bracia, którym słowa jego dochodziły tylko jak szum daleki, chcieli się porwać na nogi, lecz popadali także i w wielkiej izbie słychać było tylko jęk konających....

Adela wymówiła cicho, jakby do siebie:

— To za braci moich, pomordowanych na wojnie.... Tak mści się niemka!

Kraska uczuł szum w głowie.... Nogi pod nim drżały, wybiegł na podwórzec, a jęk konających zdawał się go ścigać. Dopadł do bramy, odwalił zapierający ją drąg i puścił się ku lasom, co sił starczyło. Pilno mu było oddalić się od tego strasznego miejsca zbrodni.

Pod lasem spotkał Mirosza, opowiedział mu, co widział. Stary zapłakał.

— Wielcy bogowie, za co na lud wasz tak straszny zsyłacie dopust?

Zwiesił głowę, a łzy mu wielkie toczyły się po policzkach wychudłych.

— Chodź chłopcze — rzekł po chwili — pójdziemy od chaty do chaty, od dworu do dworu i nawoływać będziem do pomsty. Liście z drzew nie opadną, a już z tego gadziniego gniazda nie będzie śladu. Tylko w pamięci ludzkiej nigdy się ten czyn sromotny nie zetrze, bo zbrodni takiej nie bywało na naszej ziemi.

Jak rzekł Mirosz, tak zrobili i wnet po kraju rozległ się krzyk zgrozy, a lud nie pytając nikogo, szedł nad Gopło. Nie wiedziano jeszcze co począć; ale każdy czuł potrzebę radzenia nad niedolą tej ziemi, której kneź stał się katem.

Wszyscy cisnęli się do chaty Piasta. Jakiś głos im mówił, że tam trzeba szukać rady.

— Zburzym tę jamę zbujecką! — wołano.

Piast ugaszczał każdego, czem mógł i uspakajał wzburzonych, powtarzając:

— Tego u nas nie bywało, żeby lud targnął się na życie knezia.

— Ale i takiej zbrodni nie bywało!

— Zostawmy pomstę bogom — mówił Piast.

Aż dnia pewnego przybiegła od Gopła wieść nowa: zamek książęcy się pali.

Spieszyły tłumy ludu i z daleka już widziano płomienie, buchające w górę. Jacyś ludzie obozowali pod wałami. Wnet też dowiedziano się, że to Wyżymir przyszedł mścić się śmierci ojca i z dymem puścił kneziowskie siedlisko.

Lud trzymał się zdala od zamku i wojaków Wyżymira. Usłuchali głosu Piasta, nikt nie chciał przyłożyć ręki do dzieła pomsty. Czekano.

Wyżymir o tem postanowieniu snać wiedział, bo nie prosił o pomoc; zresztą nie potrzebował jej. Zamku nie zdobywał, bo i sił nie miał po temu i czasu nie chciał mitrężyć. W nocy się podkradł, rzucił żagwie, a wiatr suchy mu pomagał. Słyszał jęki żywcem płonących, lecz ani się ruszył. Jemu w uszach ciągle brzmiał głos ojca: «pomścij się!»

Ludu garść miał nie wielką, ale był pewny, że zemsty dokona. Wiedział, że Popiel, schronił się z żoną i dzieckiem na wieżę, murowaną z kamienia. Ogień się jej chwytał, ale dym wyżerał oczy, żar dusił zamkniętych. Wyżymir poił się zemstą swoją i wciąż patrzał na wieżę, jakby się spodziewał ujrzeć tam wybladłą ze strachu i głodu twarz Popiela.

W wieży było cicho, jakby już wszyscy pomarli. Wyżymir niecierpliwił się, chciał już raz skończyć oblężenie. Kazał nanosić drew dokoła wieży i sam podkładał ogień. W kilku miejscach już buchnęły płomienie! Wyżymir jeszcze nowe rozniecał, aby całą wieżę opasać ogniem. Tylko od strony Gopła ściana była wilgotna i zimna. Ogień palił mu twarz, a on patrzał spokojnie i z zadowoleniem.

Wtem z okna u szczytu wieży wysunęła się bryła kamienia. Wyżymir tego nie widział. Kamień leciał coraz szybciej, z szaloną mocą i całym ciężarem przygniótł Wyżymira. Krew tylko bryzgnęła i zasyczała w płomieniach, które pięły się coraz wyżej. Słup dymu zakrył wieżę, cicho się zrobiło zupełnie.

Nikt nie poszedł ognia gasić, a nocą łuna oświecała daleką okolicę.

Lud, zgromadzony na błoniach, czekał dni kilka. Nie można było wątpić, że Popiel z rodziną zginął z głodu, żaru i dymu. Ale nikomu nie było pilno do tego strasznego miejsca. Trzeba było radzić, co dalej począć.

— Knezia wybrać musimy! — wołano.

— Knezia, knezia nam potrzeba!

Najstarszy wiekiem kmieć przewodniczył wiecowi. Myślano nad tem, kogoby wybrać kneziem, lecz zgody nie było. Ten chciał tego, tamten innego, a wybór był trudny.

Wiec przeciągał się z dnia na dzień, starzy biadali na dolą ziemi i niezgodą, głód zaczął dokuczać. Najbliższa chata była Piastowa, do niej więc szli wszyscy na posiłek. Piast serce i dom każdemu otwierał, dobywał zapasów, nie myślał, czy potem jemu samemu starczy chleba, dawał i karmił, a powtarzał: czem chata bogata, tem rada.

Z niezgodą bieda była prawdziwa, a knezia trzeba było obrać koniecznie i do domów wracać, bo roboty czekały pilne.

Kiedy tak poważni kmiecie radzą i myślą, zjawiają się owi dwaj biali kapłani, których kiedyś widziano w zagrodzie Piasta. Powitano ich serdecznie, wzięto w środek i o radę pytano.

— Wyście powinni najlepiej wiedzieć, kogo wam potrzeba.

— Niemasz nikogo pomiędzy nami, ktoby wszystkim przypadł do serca.

— Sami się obwiniacie. Nie może być, żeby się taki nie znalazł.

— Otóż i myślimy nad tem. Was niebo nam zsyła, poradźcie, wskażcie nam.

— Srogi pan was zawiódł, szukajcie takiego, któryby was miłował, a był wszystkim i bratem i ojcem zarazem.

— Oj, chcielibyśmy takiego, chcieli.

— I dalej go szukacie, choć blizko jest.

— O kim myślicie?

Obaj przybysze spojrzeli w tej chwili w stronę chaty Piastowej. I otóż właśnie i on szedł, a za nim kilku ludzi z koszami, pełnymi chleba.

Tłum ludu w tę stronę spoglądał.

Ten i ów szepnął: a możeby Piast?

Szmer zaczął się robić pośród siedzących, imię Piasta przebiegało od końca do końca, a Piast, ani się domyślając, szedł wolno, uginając się pod ciężarem jadła,

które niósł braciom na posiłek. Szmer stawał się głośniejszy, lud dotąd swarliwszy, miał teraz jedną tylko myśl.

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło Piasta od jego towarzyszy, gdy z tysiąca piersi dobył się okrzyk:

— Piast kneziem!

Poczciwy kmieć zdawał się nie rozumieć. Okrzyki powtarzały się coraz głośniej. Jemu kosz z ramion się zsunął, chleb potoczył się po ziemi, a on stał zasłuchany w te radosne głosy, zdziwiony i przerażony. Zdawało mu się, że naród robi sobie z niego igraszkę.

Ale już tłumy go otaczały, silne ramiona go chwytały i podnosiły w górę.

— Piast naszym kneziem! — wołano, a wiatr roznosił ten głos narodu, hen, gdzieś aż na kraj ziemi.

Skromny Piast wypraszał się z tej łaski i zaszczytu, tłómaczył, że umie tylko koło roli i braci chodzić, lecz nic to nie pomogło, musiał kneziować, bo taka była wola narodu.

Kiedy się okrzyki uciszyły szukano owych dwóch wędrowców, którzy do wyboru pomogli, ale ich nigdzie nie było. Zniknęli, jak ongi z chaty Piasta.

Na polskiej ziemi zapanował spokój; zgoda i szczęście pozwoliły zapomnieć o przeszłej niedoli. Tylko wysoka kamienna wieża, przypominała stary gród Popielów.

Piast panował prawdziwie jak ojciec i był kochany przez wszystkich. Na zachodnich kresach pilnował spokoju Kraska, czasem tylko przybywając do nowego dworca kneziowskiego, przed którym, jako dawna pamiątka, stał pług.

Owi biali wędrowcy, którzy nad głową Ziemowita uczynili znak krzyża, nie ukazali się już więcej. Lud mówił, że to byli Anieli, zesłani z nieba, dla błogosławienia narodowi Piastów!...

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

III. Wieczernik.

Z góry Morya, na której stała świątynia Salomona przenieśmy się na górę Syonu, do pierwszego kościoła katolickiego, do miejsca dla nas najświętszego, — do Wieczernika. Dziś góra Syon, dawne «miasto Dawida», nie nosi żadnych śladów świetnej przeszłości, owszem smutny, przykry przedstawia widok. Stała tu niegdyś chwilowo Arka Przymierza, modlił się przy niej często pobożny król Dawid, przy niej śpiewał i układał swe psalmy, tu były piękne gmachy i wspaniałe pałace królewskie, a dziś? Nędzne chaty i gruzy!...

Mury miasta, którymi Jerozolima jest opasana dzielą górę Syon na dwie części: jedna znajduje się poza obrębem murów miejskich, tworzy znaczny obszar, na którym są cmentarze, niedbale utrzymane ogrody, miejsca wolne i — gruzy kamieni! Druga część, otoczona murami Jerozolimy, zawiera liczne, bezładnie rozrzucone domy, przedzielone wąskiemi, brudnemi uliczkami, a wśród nich wznosi się Wieczernik, tyle dla każdego serca katolickiego budzący wspomnień. Zapewne, że nie jest to ów «Wieczernik, wielki, usłany», o którym mówi Ewangielista (Łk. 22, 12), przecież to jest pewnem, że tu, w tem miejscu, a nie gdzieindziej Pan Jezus spożył ostatnią wieczerzę z Apostołami i pożegnał się z nimi przed swą bolesną Męką.

Według dawnej tradycyi należał Wieczernik — do Józefa z Arymatei, a po śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela był miejscem zebrań pierwszych chrześcijan i kaplicą, kościołem, w którym odprawiali swe nabożeństwa. Św. Epifaniusz (w IV. wieku) wspomina, że Wieczernik należał do tych nielicznych domów, które nie zostały przez Tytusa zburzone. Święta Helena zbudowała na tem miejscu piękny kościół, który — jak wszystkie inne — w czasie zaburzeń wojennych uległ zniszczeniu w IX. wieku.

Krzyżacy go na nowo odbudowali i nadali pierwotną formę.

W 1305 roku odkupił Wieczernik od sułtana król sycylijski, Karol Andegaweński i oddał go w opiekę synom św. Franciszka, który zwiedził miejsca święte z wielką pobożnością i uczcił Wieczernik w szczególniejszy sposób, jako dowód wielkiej miłości Pana Jezusa okazany nam przez ustanowienie Sakramentu Miłości. Zakonnicy zajęli się gorliwie wybudowaniem świątyni (1342 roku), która dotychczas istnieje; obok niej mieli gospodę na 200 pielgrzymów. Pomimo licznych trudności a nawet prześladowań utrzymali wziętą świątynię w swych rękach do 1551 roku, kiedy Turcy ostatecznie odebrali im klasztór i kościół pod pozorem, że w nim znajduje się grobowiec króla Dawida, którego również uważają za swego proroka. Kościół zamienili na meczet, dodając kopułę i minaret, a klasztór oddali swym mnichom (derwiszom) na mieszkanie. Kościół ów (obecny meczet turecki) dzieli się na dolny i górny. W części dolnej kościoła dopatrzeć się można śladów bardzo odległej starożytności, podobno mają się w nim znajdować szczątki dawnego Wieczernika. Tu miał Zbawiciel nogi umywać Apostołom i tu również po zmartwychwstaniu im się objawiał.

Obecnie nie wpuszczają Turcy nikogo do tej dolnej części kościoła, gdyż tu właśnie ma być ów rzekomy grobowiec króla Dawida. Niema na to przecież żadnego dowodu historycznego, gdzie złożono jego zwłoki; wiadomo tylko tyle, że został pogrzebanym w Jerozolimie. Jak opowiadają, że znajduje się tam wielki sarkofag, okryty kosztownymi dywanami, przed którym świeci się lampka. Górna część kościoła (piętro) jest to późniejsza przybudówka. Miała tu się odbyć ostatnia wieczera i ustanowienie Najświętszego Sakramentu Ołtarza. Wchodzi się na piętro z zewnątrz po lichych schodach. Kościółek w stylu ostrołukowym jest w opłakanym stanie: posadzka kamienna, ściany brudne, zaniedbane. Długość jego wynosi od wschodniej ku zachodniej stronie 18, a szerokość 10 metrów, wysokość w miejscu krzyżowania się żeber sklepienia dochodzi do 6 metrów. Dwie kolumny środkowe dzielą Wieczernik na dwie sale.

Po kilku schodach przechodzi się przez drzwi do drugiej izby, w której jest okno a przez nie widzieć można grobowiec króla Dawida. Jest on dokładnem naśladownictwem tego, który się znajduje w dolnym kościele, a którego oglądać «giaurom» nie wolno.

Dla dostąpienia odpustu odmówiśmy pacierz, lecz głośno odmówić ani głowy odkryć nie mogliśmy na tem miejscu świętem, zabronił nam derwisz, który nas dotąd wprowadził. Smutek nas ogarnął, a myśl uniosła w przeszłość, by wzbudzić w nas rzewne wspomnienia. Tu bowiem Pan Jezus w wigilię swej bolesnej Męki ustanowił Najświętszy Sakrament Ołtarza, by zostać z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata. Tu umywał nasz Pan nogi swym uczniom, ostrzegał Judasza przed zamierzoną zbrodnią, oddał siebie samego Apostołom w Komunii świętej i poświęcił ich na kapłanów. Tu Pan Jezus tak czule żegnał się z nimi przed swą Męką, a po Zmartwychwstaniu objawiał się im, by ich utwierdzić we wierze.

Tu Zbawiciel ustanowił Sakrament pokuty, dał Apostołom i ich następcom władzę odpuszczania i zatrzymywania grzechów temi słowy: «Weźmijcie Ducha świętego. Którym odpuścicie grzechy są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane». (Jo. 20, 22). Tu w ośm dni później się objawił, aby nawrócić niewiernego Tomasza, który w Zmartwychwstanie Pana Jezusa nie chciał uwierzyć, dopóki nie będzie się dotykał Jego ran świętych; gdy ujrzał Mistrza swego zawstydzony zawołał: «Pan mój i Bóg mój». Tu po Wniebowstąpieniu Pańskiem trwali Apostołowie i Uczniowie Chrystusa z Najświętszą Panną Maryą na modlitwie, oczekując Zesłania Ducha świętego. Tu obrali w miejsce zdrajcy Judasza, Macieja na Apostoła.

Tu w dzień Zielonych Świątek w pięćdziesiąty dzień po Zmartwychwstaniu zstąpił Duch święty na Apostołów i wiernych w postaci ognistych języków. Pismo święte opisuje nam to cudowne zdarzenie w ten sposób: «A gdy się spełniły dni pięćdziesiętnicy, byli wszyscy wespół na temże miejscu (to jest we wieczerniku). I stał się z prędka z nieba szum, jakoby padającego wiatru gwałtownego i napełnił wszy-

stek dom, gdzie siedzieli. I ukazały im się rozdzielone języki jakoby ognia i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Ducha świętego i poczęli mówić rozmaitemi językami, jaki im Duch święty wymawiać dawał». (Dz. Ap. 2, 1—4). Piotr święty, jako «Głowa» zawiązującego się Kościoła Chrystusowego wystąpił odważnie, a napełniony Duchem świętym z takim skutkiem głosił słowo Boże, że tegoż dnia nawróciło się trzy tysiące żydów. Tu obrano i wyświęcono św. Szczepana na dyakona. Tu Apostołowie — według tradycyi — podzielili świat między siebie, żeby go nawrócić i tu wracali z swych prac apostolskich.

Nic więc dziwnego, że Wieczernik, to miejsce święte, na którym Pan Bóg tyle łask zlał na Apostołów i wiernych, do którego tyle przywiązanych rzewnych pamiątek, doznawało szczególniejszej czci u pierwszych chrześcijan, jako i w późniejszych czasach. Lecz niepojętem zrządzeniem Opatrzności znajduje się ręku niewiernych w wielkiem zaniedbaniu i opuszczeniu, wśród licznych brudów i nieporządków.

Prócz Wieczernika znajduje się na górze Syon kościół nowozbudowany Zaśnięcia Najwiętszej Panny Maryi, klasztor i kościół schizmatyckich Ormian; o tych pamiątkach wspomnimy później na właściwem miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIOSNKA MAZURSKA.

Płynie biała chmurka
Po błękitnem niebie —
Powiedz chmurko dokąd
Wiatry niosą ciebie?

Czy są gdzie na świecie
Takie łąki pola
Czy gdzieindziej pachnie
Tak, jak u nas rola.

Czy są gdzie na świecie
Takie piękne drzewa?
Czy też gdzie słowiczek,
Tak, jak u nas śpiewa?

Nie zobaczysz, chmurko,
Piękniejszego kraju,
Chyba zawędrujesz
Do Bożego raju....

Grzmoty, błyskawice i pioruny.

(Pogadanka naukowa).

Dawno już, bardzo dawno ludzie zauważyli, że bursztyn — żółta kopalna żywica, z której wyrabiają paciorki, spinki inne ozdoby, posiada szczególną własność. Oto potarty o sukno, lub jaki materyał wełniany, przyciąga z pewnej odległości kawałki drzewa, papieru, słomki, piórka i t. p. i gdy go podniesiemy w górę, one trzymać się i razem z nim wisieć będą.

Takiejże własności nabierają i inne przedmioty, jak: szkło, lak, żywica, siarka i t. p. Pocierając w ciemności ręką po grzbiecie pod włos kota, albo rąbiąc cukier w ciemności, czy też trąc mocno o siebie kawałki porcelany, przekonamy się, że wyskakują z nich malutkie żółte iskierki, które również powstają przez tarcie. To dowodzi, że w takich przedmiotach znajduje się niewidzialna siła, moc, która pociąga do siebie inne przedmioty, wydaje iskry i trzask, a wydobywa się i ujawnia przez potarcie. Taką siłę, taką własność ciał, uczeni nazwali elektrycznością, od słowa e l e k t r o n, co po grecku znaczy bursztyn.

Owe zatem iskry, trzask i przyciąganie są skutkami tej elekryczności. Elektryczność może przechodzić z jednych przedmiotów do drugich, chociaż nie do wszystkich. Te ciała do których elektryczność nie przechodzi nazywają się z ł y m i p r z e w o d n i k a m i, a te, do których łatwo przechodzi — d o b r y m i p r z e w o d n i k a m i elektryczności. Z dobrych przewodników te najłatwiej przyjmują elektryczność, które są ostro zakończone, a im są ostrzej-

sze, im wyżej wzniesione, tem prędzej i łatwiej elektryczność ściągają.

Te szczególne zjawiska, a raczej te dziwne własności ciał, zwróciły uwagę ludzi uczonych, którzy przez długie nad niemi badania i próby doszli do tego, że zbudowali maszyny, zapomocą których otrzymują wielkie i tak mocne iskry elektryczne, że nawet zabić mogą. Co ważniejsza, siłę tę zużytkowali w rozmaity sposób, tak, że dziś nieobliczone oddaje usługi, o czem w swoim czasie mówić będziemy.

Badając tę własność ciał i jej działanie, wpadli na myśl, że błyskawice, grzmoty i pioruny są również skutkami elektryczności zebranej w chmurach, tak, jak przyciąganie, trzask i iskry są skutkami elektryczności zebranej w przedmiotach wyżej wspomnianych, tylko że są nieskończenie większe i silniejsze od tych ostatnich. Uderzanie chmury o chmurę i ścieranie się ich z sobą już wywołuje elektryczność, a jedną z główniejszych przyczyn zbierania elektryczności w chmurach jest parowanie wody, przytem z różnych przedmiotów w ziemi i na ziemi znajdujących się wydobywa się elektryczność i w chmurach gromadzi. Im wyżej w górę, tem więcej jest elektryczności, więcej też jest jej w ziemi, niż na powierzchni, więcej w okolicach gorętszych, niż w zimnych, ale wogóle znajduje się ona wszędzie. O tem wszystkiem przekonały badania i doświadczenia uskuteczniane przez ludzi uczonych, którzy długie lata nad tem strawili.

Iskra przeskakując z chmury do chmury, wydaje nagły blask zwany błyskawicą. Jeżeli ta błyskawica zostanie przyciągniętą przez jakie wysokie drzewo, lub budynek do ziemi, wtedy wydaje silny trzask, który nazywamy piorunem, a który jest wynikiem połączenia się elektryczności powietrza z elektrycznością ziemi. Trzask taki sam, ale przeciągły, nazywamy grzmotem.

Grzmot, piorun i błyskawica powstają z tej samej przyczyny, więc i w tej samej chwili. Jednak pierwej widzimy błysk, a dopiero po pewnym przeciągu czasu słyszymy grzmot. Pochodzi to stąd, że światło daleko prędzej przebiega przez powietrze do naszego oka, aniżeli huk do naszego ucha. Można się o tem przekonać, patrząc z odda-

lenia na strzelanie z dział, że wpierw ujrzymy światło, niż usłyszymy huk, a przecież błysk i huk jednocześnie powstały: Chmury zbierają się zawsze w znacznej od nas odległości, przeto gdy piorun z tych chmur uderza, najprzód widzimy błyskawicę, a później słyszymy grzmot. Kiedy grzmot słyszymy, to już się niema czego lękać, bo to znak, że piorun już spadł na ziemię, bo uderzył w chwili błyśnięcia; tylko bowiem iskra, czyli piorun szkodzić może.

Jeżeli piorun spadając na ziemię, trafia na suchy piasek, wtedy ten piasek od gorąca iskry piorunowej może się stopić w pewnej części. Jeżeli tym sposobem trochę piasku się stopi i w jedno zleje, to tworzy cienką i długą laskę zwaną skałką piorunową, czyli fulgurytem, jak uczeni nazywają. Nieświadomi ludzie przypisują skałce piorunowej własność cudowną powstrzymywania piorunów, ale to jest prostą bajką, jak również bajką jest mniemanie, jakoby były pioruny zimne, gaszące ogień wzniecony przez piorun gorący.

Zdarza się wprawdzie niekiedy, że gdy w palący się od pioruna budynek uderzy drugi piorun, to ogień zagasi, ale to dzieje się wskutek wielkiego wstrząśnienia powietrza, tak n. p. jak gasną zapalone w kominie sadze, gdy w komin ten wystrzelimy z pistoletu. Jeszcze szkodliwszą jest niedorzecznością utrzymywać, że ognia wznieconego przez uderzenie piorunu gasić nie można. Otóż nietylko można, ale koniecznie potrzeba ratować palący się budynek, tak samo, jak się ratuje, gdy pożar z innej przyczyny powstanie.

Nieszczęśliwe skutki burz piorunowych skłoniły ludzi do przemyśliwania, czyby się nie można od nich w jaki sposób zabezpieczyć. Widząc, że niektóre ciała są dobremi przewodnikami elektryczności, bo posiadają własność przyciągania takowej, spróbowano za ich pomocą tego dokonać. Z takich ciał wybrano żelazo — i stawiając na dachach wysokie, ostro zakończone druty, z końcami pozłacanemi, żeby żelazo nie rdzewiało, przekonano się, że mogą zabezpieczać budynek od pożaru. Druty te łączą się z ziemią zapomocą sztaby żelaznej, której koniec zanurza się w studni, albo w ziemi zakopuje. Gdy chmura naładowana elektrycznością przeciąga nad takiemi drutami to, albo po

trochu oddaje im elektryczność, albo piorun uderza w drut i spływa po nim, nie szkodząc nikomu. Druty takie nazywają się piorunochronami, albo konduktorami.

Na domach wiejskich niema takich piorunochronów, więc należy starać się o ile można, w inny sposób od piorunów zabezpieczyć. W domu nie stawać blisko przy oknie i przy kominie, a zwłaszcza gdy się pali w piecu, albo na kominie. Ponieważ komin najwyżej się wznosi, w niego więc piorun najczęściej uderza. Strzedz się też należy otwierania okien w czasie burzy. W drodze lub na polu, nie trzeba się chronić pod drzewa, albo pod stogi, bo w takowe często piorun uderza. Nie trzeba iść, albo jechać pospiesznie, bo wychodząca podówczas z człowieka, albo zwierzęcia para jest dobrym przewodnikiem, może więc elektryczność, czyli piorun ściągnąć. Trzeba też na polu odrzucić od siebie sierp, kosę i wszelki przedmiot ze stali lub żelaza, które również ściągają elektryczność.

Zresztą przezorni gospodarze sami wiedzą, jak się w czasie burzy zachować i mieć na ostrożności potrzeba, a przedewszystkiem polecają się Opiece Bożej, bo Bóg jest władcą piorunów i nawałnicy, niech też On każdego od nagłej śmierci i nieszczęść wszelkich w pośród burz letnich zachowa.

Nieraz się zdarza, że przed burzą, albo w pewnej odległości od przeciągającej burzy, powietrze jest silnie przesycone elektrycznością. Wtedy to na wierzchołkach wysokich drzew, kominów fabrycznych, krzyżów kościelnych, i śpiczastych dachów pokazują się szczególne fioletowe ogniki, wyskakujące w górę w postaci snopów, lub iskier. Były wypadki, że na dachach słomianych pojawiał się biały płomień silnie się poruszający; ludzie sądzili, że dom się pali i już biegli na ratunek, gdy ten z trzaskiem zgasł nagle. Uczeni to tłumaczą tak, że wtedy elektryczność powietrza łączy się zwolna z elektrycznością ziemi, gromadzącą się na wysokich, śpiczastych przedmiotach i to wywołuje owo światło, zwane powszechnie ogniami świętego Elma.

Bóg ponad wszystko!

Nauka i praca, przezorność i oszczędność, mogą nas doprowadzić do nadzwyczajnych wyników. Możemy zapomocą tych zalet ducha i charakteru zdobyć władzę, majątek sławę, wogóle prawie wszystko, co ludzie szczęściem na tej ziemi zowią.

Lecz ponad wszystkiem jest Bóg, który w niezbadany sposób kieruje naszemi losami, a bez błogosławieństwa Boga wszystkie rachuby człowieka są niczem.

Porównajmy całą naszą potęgę z wielkością wszechświata, zmierzmy wszystko, co mamy, z tym bezmiarem tworów Bożych, które nas otaczają, wzlećmy myślą między te nieskończone roje gwiazd, które tajemniczo błyszczą nad naszemi głowami, a uczujemy się bezsilnym prochem wobec potęgi Stwórcy!

Jeden listek trawy, jeden pyłek ze skrzydła motyla urąga naszej sztuce i nauce; wszędzie widzimy niezbadane tajniki Bożej mądrości, wobec której mądrość i praca ludzka są niczem.

Nieraz gdy człowiek jest u szczytu swej potęgi, jedno kalectwo lub choroba łamie go. W chwili najwyższego powodzenia, gdy człowiek najmniej się spodziewa, może ogień lub woda zniszczyć cały plon jego pracy. A jeszcze gorzej, gdy boleść uderzy w jego serce, gdy boleść wyrwie z objęć tych, dla których wysilał myśl i dłoń, żeby w ich szczęściu własne znaleść szczęście.

Jeżeli człowiek w chwilach powodzenia nie pamięta, iż wszystko, co ma, zawdzięcza Bogu, to pewnie chwila nieszczęścia przywiedzie mu na myśl Tego, który doświadcza ludzi ciężkimi losami.

Niechaj przeto wiedza i siła pracy nie zawraca nam głowy, padajmy na kolana i korzmy się przed Bogiem! Niech poczucie własnej zasługi nie czyni naszych serc twardemi wobec tych, których smaga los niedoli; kierujmy się miłością Boga i bliźniego.

Świat wiele zawdzięcza potężnym i światłym ludziom, ale więcej jeszcze d o b r y m. Gdybyśmy mieli wszystko, co świat dać może — a nie mielibyśmy miłości Boga i bliźniego, nie znajdziemy szczęścia.

Boć i cóż pozostaje człowiekowi z władzy i z bogactw, gdy się zbliży chwila zgonu? Jeżeli nie przypomną mu się dobre uczynki, spełnione w życiu — jeżeli ich mieć nie będzie — czarnym i zimnym ujrzy ten świat po za sobą i patrzeć będzie w wieczność z niemem przerażeniem.

Na krawędzi grobu, wszystko opuszcza człowieka, co było ziemskie, tylko uczynki dobre pozostaną jeszcze i poprowadzą go do Boga, do nieba, bo niebo ich ojczyzną. Kochajmy więc Boga i czyńmy dobrze bliźnim naszym!

SZLACHETNOŚĆ GALERNIKA.

Wysoki, piękny i silny mężczyzna, który w roku 1850 pokutował jako galernik we Francyi, doprowadzony był nędzą swej kaźni do rozpaczy prawie, a długie lata jeszcze nieznośna jego kara trwać miała. Wtem razu pewnego udało mu się oszukać czujne straże i uciec. Już daleko był od miejsca swej niedoli, rozkoszuje w ciepłem świetle słonka bez krępujących go więzów; czuje się swobodnym i wolnym na wielkim bożym świecie.

Zbliżył się do skromnego domku dzierżawcy maleńkiego gospodarstwa; chciał wstąpić, poprosić o kawałek chleba, albo — ukraść go, gdyby mu odmówiono. Ale wszedłszy do izby, widzi starego wieśniaka, który otoczony żoną i dziećmi, gożkie łzy wylewa.

— Co wam to? — zapytał galernik.

— Ach, chcą mi sprzedać wszystko, co posiadam, dlatego, że nie mogę zapłacić czynszu? Potrzeba mi jeszcze czterdzieści franków!

— Ano, to musicie sobie pożyczyć, albo też — — —

Galernik nie wymówił słowa, bo czuje, że inna, dziwnie piękna nasuwa mu się myśl; mocno jest wzruszony.

— Kołatałem wszędzie, ale daremnie; ani szeląga nikt nie chciał mi pożyczyć! Jestem zniszczony, jestem zgubiony! O moja biedna żona, moje biedne dzieci!

I znowu zawtórował płacz żony i dzieci.

— No, uspokójcie się — zawołał galernik. — Wiadomo wam przecie, że kto zbiegłego galernika przytrzyma, otrzyma pięćdziesiąt franków nagrody. Przypatrzcie się mnie teraz — ja jestem takim galernikiem. Czemprędzej więc zwiążcie mnie i zaprowadźcie na galery.

Któż zdoła opisać zadziwienie wieśniaka, słysząc te dziwne i pełne szlachetności słowa. Stoi oniemiały i nie dowierza swym uszom. Wreszcie przerywa milczenie i mówi:

— Przypuśmy, że to prawda; ale kto mi uwierzy, że ja szczupły i słaby takiego olbrzyma jak wy jesteście, pochwyciłem, związałem i odstawiłem?

Ale serce galernika, owładnięte lepszem uczuciem jest jakby odrodzone, a Pan Bóg dodaje mu łaski, że się nie chwieje. Raz jeszcze żegna słodką wolność i wraca cierpliwie, jak baranek do miejsca kaźni.

Tu zdziwienia nie było końca. Wypłacono wieśniakowi wyznaczone pięćdziesiąt franków i wypytywano go, jak to się stać mogło, że tak olbrzymiego pochwycił mężczyznę i tak łatwo go przyprowadził.

Gdy wieśniak opowiedział szczerą prawdę, w jaki sposób owego galernika przyprowadził, doniesiono całą sprawę generalnemu dozorcy galerników.

Ten wziął samego zbiega na przesłuchy i nakłonił go do powiedzenia prawdy i mocno zadziwiony, przesłał obszerne sprawozdanie ministrowi sprawiedliwości. Minister sam zdarzenie to osobliwe opowiedział u dworu, a galernik, który tak szlachetną, z zaparciem samego siebie okazał miłość bliźniego, odzyskał prawo do obcowania ze społeczeństwem i został też zupełnie ułaskawiony.

Ze świata zwierząt.

Przywiązanie konia do człowieka.

Koń jest po psie najpojętniejszem, najposłuszniejszym, najodważniejszem, najmądrzejszem, najszlachetniejszem zwierzęciem. Rozumie on nietylko słowa woźnicy, ale zna jego siłę lub słabość, oraz jego zdolność kierowania nim; zna

drogi, które przebywał, dom do którego zajeżdżał, stajnię, w której został nakarmiony. Za tem wysoce rozwiniętem duchowem życiem, stoją jako wymowne świadki jego przymioty i zewnętrzne ich oznaki: wierność i przywiązanie, odwaga wśród walki, jęki w chorobie, pełne wyrazu oko szczególniej w chwili śmierci, rozmaite ruchy wyrażające jego uczucia, radosne rżenie na widok swego pana; zręczność, do której nauką uprawiony być może, roztropne unikanie niebezpieczeństwa i tysiące innych rysów z życia pojedynczych a sławnych koni.

Oto zajmujące zdarzenie, w którem mamy znów złożony dowód roztropności konia.

Pan S. bawiący w gościnie u jakiegoś osadnika na granicy państw Mississipi i Lousiany (w Ameryce), jechał z nim raz do Franklintown. Przy drodze którą jechali, leżał lasek nieduży: w chwili, gdy się do niego zbliżyli, zaczęły się konie widocznie niepokoić, parskać i iść dalej nie chciały. Pan S. zsiadł z konia, a oddawszy uzdę przyjacielowi, idzie w gęstwinie, chcąc zbadać przyczynę tego ich niepokoju. W pyle ścieżki ujrzał ślad jakiegoś ciężkiego przedmiotu, wleczonego po ziemi. Udał się tedy za śladem i znalazł zwłoki zabitego mężczyzny. Ciało nie było jeszcze całkiem zastygłe, znać zbrodnia ta niedawno spełnioną została. Nieszczęśliwemu zadano kilka ran głębokich, z których krew obficie płynęła; odzież jego choć cała krwią zalana, bogato była szytą i kazała w zamordowanym co najmniej zamożnego domyślać się człowieka. Obok leżące zrabowane torby podróżne stwierdzały ten domysł. Nadchodzący przyjaciel poznał w zabitym p. Henrichsa adwokata....

Kiedy obaj mężczyzni przypatrywali się zwłokom, usłyszeli rżenie i parskanie konia, oraz głuche uderzenia jego kopyt o ziemię. Osadnik udał się w las w kierunku, zkąd ich hałas ten doszedł i powrócił wkrótce wiodąc ze sobą wspaniałego konia najczystszej rasy, który jak mówił należał do pana Hendrichsa.

Biedne zwierzę wzruszający przedstawiało widok. Drżąc na całem ciele upadło prawie na ziemię na widok ciała swego pana. Z głową i szyją wyciągniętą naprzód, grzywą najeżoną a pałającym wzrokiem patrzyło przed siebie

i zbliżało się powoli ku miejscu, gdzie leżał pan Hendrichs. Tu schyliło głowę i obwąchało ciało leżącego, a przekonawszy się, że to rzeczywiście pan jego, polizało jak pies jego zimne ręce.

ROZMAITOŚCI.

Stuletnie trojęta.

Z tęgiego rodu widocznie pochodzą trojęta, które niedawno w małej gminie Asnieres (we Francyi) obchodziły setną rocznicę swoich urodzin. Wszyscy trzej są chłopami i prócz kilku drobnych wycieczek nie wydalili się ze swej gminy. Każdy z nich ma swe obejście, na którem gospodarują już ich potomkowie w drugiem i trzeciem pokoleniu, a czwarte się do pracy wkłada. Wszyscy trzej są wdowcami, a posiadają potomstwo, złożone z 340 osób, z których jeszcze 80 mieszka w domu. Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej przesłał temu szczególnemu rodowi trojąt swoje życzenia.

Agitacya pozagrobowa.

Amerykanie tak gorąco zajmują się walką wyborczą, że nawet schodząc z tego świata, i po śmierci jeszcze agitują za swoim kandydatem. Podczas zeszłorocznych wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można było czytać na pewnym nagrobku na cmentarzu w Bethel, takie napis: „Moi drodzy przyjaciele, których opuściłem, głosujcie za Jenningsem Bryanem“.

Naśladowania godny zwyczaj

panuje w Norwegii. Żadna dziewczyna nie otrzyma tam od rodziców lub opiekuna pozwolenia do zaręczyn, ani nawet do chodzenia na tańce, zanim nie nauczy się szyć, snuć i gotować. To też dziewczęta już za młodu uczą się tego wszystkiego, a matki i starsze kobiety chętnie im udzielają potrzebnych wskazówek.

Nie dziw też, że kobiety norwegskie słyną jako dobre gosposie. I u nas byłoby lepiej, gdyby te matki, które tak chętnie pozwalają swoim córeczkom brać udział w rozmaitych zabawach, od wczesnej młodości przyzwyczaiły je do domowej pracy. Wyszłoby im to przynajmniej na korzyść.

Miesiące żniwne.

Najwcześniej w Europie żniwa odbywają się w miesiącu czerwcu i to w Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Grecyi i w pewnej części Francyi. Najpóźniejsze zaś w miesiącu październiku, a mianowicie w Finlandyi.

W krajach pozaeuropejskich sprzątają już w styczniu i to w Australii, Nowej Zelandyi, Chile i Argentynie. Stąd możemy się każdego miesiąca udać na żniwa do innego kraju, aż do miesiąca listopada. Listopad i grudzień są jedynymi miesiącami roku, w których nigdzie na kuli ziemskiej nie odbywają się żadne żniwa.

Jakie dochody mają monarchowie?

Największa jest „lista cywilna“ (czyli pensya) Cesarza Franciszka Józefa, bo wynosi 55 milionów koron rocznie, potem idą: cara rosyjskiego Mikołaja II. 42 miliony koron, sułtana Mahomeda V. 30 milionów koron, cesarza niemieckiego Wilhelma II. 22 miliony 500 tysięcy koron, króla włoskiego Wiktora Emanuela II. 16 milionów 500 tysięcy koron, króla angielskiego Edwarda VII. 15 milionów koron, króla hiszpańskiego Alfonsa XIII. 13 milionów koron, króla belgijskiego Leopolda II. 4 miliony 200 tysięcy koron, króla portugalskiego Manuela II. 3 miliony 800 tysięcy koron, króla duńskiego Fryderyka VIII. 2 miliony 400 tysięcy koron, królowej holenderskiej Wilhelminy 1 milin 600 tysięcy koron, króla greckiego Jerzego I. 1 milion 300 tysięcy koron, prezydenta Stanów Zjednoczonych Tafta 300 tysięcy koron.

Ile zjadamy chleba.

Niemiec Sumberg obliczył ile chleba zjadają rocznie rożne narody. Do roku 1890 pierwszeństwo dzierżyła Francya, gdzie na jednego mieszkańca przypadało 258 kilo-

gramów chleba rocznie, potem Dania 256 klg., Belgia 240 klg., Niemcy 211 klg., Szwajcarya 205 klg., Holandya 101 klg., Rosya 173 klg., Austrya 155 klg., Portugalia 107 klg. — wszystko na jednego mieszkańca.

Od tego czasu jednak zwiększył się apetyt, gdyż według obliczenia spożyto w zeszłym roku, licząc od głowy, w Danii 287 klg., w Belgii 274 klg., we Francyi 254 klg., na czwartem zaś miejsu stoją Niemcy z 230 klg., a dalej Szwajcarya 212 klg. W innych krajach waga spożytego chleba w roku przez jednego mieszkańca nie przenosi 200 kilogramów.

Straszny wypadek w rodzinie polskiej.

Z Colliers, w stanie Zachodniej Wirginii w północnej Ameryce, donoszą, że w domu górnika Michała Rutkowskiego eksplodowała cała beczułka prochu. Na kawałki został rozerwany Rutkowski jego żona i dziecko. Prócz nich czterech Polaków straszliwie jest poranionych, tak że lekarze wątpią w ich wyleczenie. Co było powodem wybuchu niewiadomo.

Piętnaście lat żywcem zakopany.

W Kleinhartmannsdorf pod Kamienicą w Saksonii aresztowano 72-letniego Kempfera, który swego 48-letniego głupkowatego syna więził przez piętnaście lat w lochu podziemnym. Dopiero gdy śmierć wyswobodziła go z męczarni, dowiedziano się o jego istnieniu. Prokuratorya zarządziła sekcyę zwłok, której wynik doprowadził do aresztowania wyrodnego ojca.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.